

Smugi rzeczy



Ryszard Sawicki

Smugi rzeczy: drzewa i przydrożne krzewy szybko przebiegają przez pole widzenia. Są i już ich nie ma. Przemieniają kształty, osobne w rozmyte, podobne we wspólne. Wzrok chwytą sylwetki przedmiotów i niemal w tej samej chwili porzuca. Oczy nie przekazują pamięci niczego dokładnie, pamięć pozostaje pusta. Nie ważne czy tamten pień drzewa pochylony był w prawo czy w lewo, czy gałęzie strzelały mocno w górę, czy opadały ku ziemi, jakby pozbawione żywotnych sił, a tylko ich końcówki sięgały wyżej.

Pociąg jechał od zachodniej granicy ku wschodniej. Zachodnia granica przestała być granicą, została unicestwiona. Wschodnia granica wciąż trwała, ale nie miała trwać już długo. Podróżni pociągu wiedzieli jednak tylko o tym co było za nimi, nie o tym co czekało ich tam, dokąd zdążali. Uciekali od wydarzeń pogranicza, ale nie zdawali sobie sprawy, że ucieczka nie może być w pełni udana. Pęd pociągu i pęd wydarzeń nakładały się na siebie. Widzieli za oknami pędzącego pociągu rozmyte pnie drzew, ale nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, że wiele innych rzeczy oglądać będą

przez kilka następnych lat podobnie rozmytymi, jakby to były bezkształtne smugi lub cienie rzeczy.

Leszek siedział na stopniach towarowego wagonu, który zajmowali podróżni ze swym dobytkiem. Wagony pasażerskie były przepełnione, było w nich duszno, a w wagonie towarowym, choć pozbawionym ławek, nie brakowało świeżego powietrza. Dni były pogodne i ciepłe, ale noce chłodne, zaczynała się jesień. W nocy drewniane drzwi wagonu zasuwano, wtedy Leszek się krył wśród przedmiotów ustawionych wzdłuż ścian, próbował zasnąć. Celem jego podróży było rodzinne miasto na południowym wschodzie kraju, pociąg jechał jednak na północny wschód. Po drodze miał się przesiąść do innego pociągu, ale nie wiedział, na której stacji uda mu się to zrobić. Nie wiedział, kiedy dojedzie do celu.

Zapatrzony w przestrzeń ku południowi nie starał się dostrzegać dalekich zagajników ani wiejskich zabudowań. Nie starał się zatrzymywać wzroku na tym, co jawiło się niemal trwale pod pogodnym niebem. Podobnie, jak nie starał się doganiać wzrokiem umykających pni drzew, które pociąg mijał w pędzie, tak i tamtym, niemal nieruchomym, oddalonym drzewom, nie pozwalał przyciągać swego wzroku. Pozwalał, aby oczy napełniały się migotaniem światła i cieni i aby pamięć rejestrowała tylko to migotanie. Tak było lepiej, myślał. Lepiej patrzeć na świat nie dotykając niczego szczególnego w tym świecie. Nie dotykając nawet wzrokiem. Dopiero, gdy następowało gwałtowne zatrzymanie pociągu, a ludzie wyskakiwali przez otwarte lub otwierane z trzaskiem drzwi i biegli w pole, dopiero wtedy, biegnąc razem z nimi, starał się szybko znaleźć bruzdę dla siebie i upadłszy w nią, skryć twarz w wilgotnej ziemi. Wyskakiwał zwykle przed innymi, gdy pociąg był jeszcze w ruchu. Przeskakiwał rów i umykał jak najdalej od pociągu, który stawał się celem lotniczych bomb i serii z karabinów maszynowych nadlatujących maszyn.

Od chwili odjazdu z ostrzeliwanego dworca kolejowego w Poznaniu nie widział nic tak wyraźnie, jak owe miejsca odległe o kilkadziesiąt metrów od toru, ku którym biegł co tchu; miejsca niczym szczególnym nie wyróżnione, a jednak bez wahania wybierane jako miejsca bezpieczne. Leżąc w bruzdzie mocno przyciskał twarz do ziemi, tym mocniej im głośniejszy był gwizd nadlatującej bomby, a potem wybuch. Nie podnosił się od razu, kiedy cichły. Trwał jeszcze chwilę bez ruchu, czekał aż minie lęk. Nie nazywał tego uczucia, ale wiedział czym jest. Nazwane mogło stać się

wyraźniejsze, bardziej dotkliwie. Mijało, uchodziło szybko, niemal tak samo szybko, jak człowiek biegnący przez pole w poszukiwaniu schronienia.

Miał piętnaście lat, gdy wojna zaskoczyła go podczas pobytu w obcym mieście. Pojechał do Poznania z rodzinnego Lwowa na zaproszenie starszego brata, Tadeusza. Cieszył się na spotkanie z bratem, zwłaszcza, że nie widzieli się przez ostatnie kilka miesięcy, bo Tadeusz, jako wojskowy pilot-obszernik, nie mógł opuścić jednostki poznańskiej z uwagi na zagrożenie wojenne. Spotkał się z Tadeuszem, ale nie mogli spędzić ze sobą wiele czasu. Tadeusz był zbyt zajęty sprawami służbowymi na lotnisku w Ławicy. Leszek dostał od brata klucze do mieszkania w centrum miasta przy ulicy Reja numer 1/5 oraz pięćdziesiąt złotych (co wydawało mu się sporą fortuną), a także bilet upoważniający do korzystania z przystani klubu oficerów lotnictwa na pobliskim jeziorze Kierskim.

Nim znalazł się w Poznaniu pod koniec wakacji, Leszek był na półtoramiesięcznym wędrownym obozie harcerskim. Wędrował po Podolu na piechotę, wrócił piętnastego sierpnia opalony, pełen radości i energii. W książce harcerskiej miał wpisane osiemnaście sprawności. Podczas pieszych wędrówek nie pamiętał o nastrojach wojennych panujących w kraju. Dopiero po powrocie do domu zaczął przeglądać nagromadzone gazety. W wydaniu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z dwudziestego piątego sierpnia przeczytał komunikat o pakcie przyjaźni zawartym między sowiecką Rosją i hitlerowskimi Niemcami. Obok artykułu opublikowano zdjęcia Stalina, Mołotowa i Ribbentropa, sygnatariuszy paktu. We Lwowie nie komentowano szeroko tego komunikatu. Groźniejsze wydawały się doniesienia o akcjach dywersyjnych organizowanych na zachodnim pograniczu przez niemieckie bojówki. W tym samym numerze IKC znalazł artykuł, w którym lewicujący młody poeta tłumaczył się ze swego wiersza nawołującego do tego, by lud „rzucił karabiny”, nie przygotowywał się do walki. Wiersz teraz drażnił społeczeństwo przygotowujące się do obrony kraju, więc poeta uważał za stosowne wyjaśnić swoje motywacje, które nim kierowały, gdy długo przed trzydziestym dziewiątym rokiem napisał i opublikował tamten wiersz.

Oprócz lektury gazet, Leszek słuchał z rodzicami i starszą siostrą komunikatów radiowych. Rodzice kupili niedawno za poradą Tadzika aparat radiowy „Telefunken”, który odbierał nie tylko polskie, ale i zagraniczne stacje radiowe. Rozgłoszenie w

Gliwicach i Wrocławiu nadawały po polsku, ale z obcym akcentem, audycje przepełnione agresywną niemiecką propagandą. Szczególnie znienawidzony był spiker znany pod swoim zdrobniałym imieniem: Teofilek. Odczytywał fałszywe wiadomości o rzekomych dezercjach z polskiej armii, przeprowadzał nawet wywiady z ludźmi podającymi się za dezertersów. We Lwowie żartowano, że należy drania Teofilka powiesić na radiowej antenie.

Nie ze wszystkiego można jednak było żartować. Leszek już w 1936 roku, jako uczeń szkoły powszechnej, przeszedł kurs organizowany przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Pamiętał dobrze instrukcje zakładania maski przeciwgazowej. Pani Pasternakówna, instruktor, wystrzeliła podczas kursu pocisk z gazem łzawiącym, a harcerze siedzący w ławkach izby harcerskiej nakładali szybko maski i wkręcali pochłaniacze. Mógł się pochwalić opaską na ramię w kolorach żółtym i zielonym, którą należało nosić, jeśli zaistniałaby potrzeba organizowania dyżurów. Dostał też funkcję gońca w drużynie. Minęło sporo lat od pierwszej wojny światowej, ale w Europie dobrze pamiętano takie nazwy gazów, jak iperyt i fosgen.

W domu przy ulicy Łyczakowskiej postanowiono zakleić okna paskami papieru, by uchronić szyby przed podmuchem powietrza podczas wybuchu bomb. Rodzice polecieli dzieciom, by cięli papier na paski i naklejali je, skrzyżowane, na szyby. Leszek pamiętał o tych paskach na oknach w domu rodziców, gdy leżał w polu przyciskając twarz do ziemi i słuchając wybuchów bomb. Obraz okien oklejonych papierem krzyżował się z obrazami ulic Poznania, widokami jeziora, po którym pływał kajakiem.

Kiedy zaklejał okna w lwowskim domu rodzinnym, czynność ta wydawała mu się absurdalna, niepotrzebna, a ponadto nudna. List Tadzika zawierał zaproszenie do Poznania, a więc i obietnicę dalszych wakacyjnych przygód. Ucieszył się, że wakacje poza domem nieco się przedłużą, miał okazję zapomnieć o ponurym nastroju. Tadzik był starszy od Leszka o dwanaście lat. Przed wybuchem wojny służył w trzecim pułku lotniczym w Poznaniu. Był porucznikiem-observedorem. Na wiosnę przekonywał jeszcze rodzinę, że do wojny nie dojdzie, powtarzał znane z prasy argumenty, że Niemcy boją się międzynarodowej opinii publicznej, nie będą ryzykować wojny w sytuacji, gdy Polska podpisała sojusze z Anglią i Francją i w razie zagrożenia może liczyć na pomoc sojuszników. W lecie już tak nie pisał. Poprosił Leszka, by przyjechał

do Poznania i zabrał jego rzeczy, zawiózł je do Lwowa. Przysłał Leszkowi czterdzieści złotych na tę eskapadę, co młodszemu bratu wydawało się ogromną sumą, gwarantującą dobrą zabawę.

Dwudziestego siódmego sierpnia, ubrany w gimnazjalny mundur z naszytą na rękawie obowiązkową tarczą szkolną na ramieniu, Leszek wyszedł z domu z małą tekturową walizką. Na dłoniach miał piękne rękawiczki *pekari*, które dostał na imieniny, i z których był bardzo dumny. Wsiadł do pociągu w stolicy Podola i po długiej, ośmiuset kilometrowej podróży wysiadł na dworcu w stolicy Wielkopolski. Przejeżdżając przez mosty pociąg zwalniał, wtedy widział żołnierzy, a także strzelców z *maciejówkami* na głowach, którzy zajmowali posterunki na przyczółkach mostów. W Tarnowie nie dostrzegł dworca zrujnowanego przez bombę, którą podłożył dywersant. Przez Górny Śląsk jechał nocą. Za szybą wagonu widział światła huty żelaza położonej blisko torów. Niedaleko była też granica z Rzeszą, ale po wschodniej stronie istniejącej wciąż granicy nic szczególnego się nie działo. Rano przybył do Poznania.

Po wyjściu z dworca skierował się na zachód, w stronę ulicy Reja. Bez trudu odnalazł dom oznaczony numerem 33a, gdzie Tadzik z kolegą Józefem Tomaszewskim wynajmowali mieszkanie. Ulica wydała mu się nieco ponura, nie tak jasna jak ulica Łyczakowska we Lwowie, przy której stała willa wynajmowana przez rodziców. Okna w mieszkaniu należącym do pani Wicherskiej nie wychodziły na ogród, tak jak okna willi. Z pewnym zdziwieniem zauważył, że mieszkańcy Poznania także oklejali okna paskami papieru. Ale nie poddał się bynajmniej ponuremu nastrojowi ulicy i mieszkania z zaklejonymi oknami. Nie po to przecież przejechał przez pół kraju, by znów myśleć o czymkolwiek ponurym. Na stole w pokoju brata znalazł kartkę z instrukcjami. Rozgościł się, umył i zjadł posiłek podany przez gospodynię. Tadzik nie mógł go przywitać, bo od kilku dni przemieszkiwał przy swojej jednostce na lotnisku, nie wracał do miasta. Dopiero po południu przyjechał z przyjacielem Tomkiem, kiedy udało im się dostać przepustkę w Ławicy, ale po serdecznym przywitaniu i potwierdzeniu instrukcji zapisanych na kartce, musieli się rozstać.

Przez następne cztery dni, ostatnie dni sierpnia 1939 roku, Leszek chodził po Poznaniu, wyjeżdżał za miasto. Obserwował coraz więcej oznak zagrożenia wojną. Ludzie dokonywali większych niż zwykle zakupów. Pod sklepami stały długie kolejki,

wykupywano mąkę, cukier, słoninę. Krążyły wieści o tym, że pieniądze papierowe mogą stracić wartość. Gromadzono bilon, zwłaszcza srebrne monety. Podobno jakiś niemiecki sprzedawca ukrył zapasy żywności, więc tłum przeprowadził szturm na jego sklep. Przechodząc koło tego sklepu widział osmolone drzwi i zdemolowane wnętrze. Nastroje antyniemieckie objawiały się rozmaicie. Gazeciarze sprzedawali papierowe składanki z karykaturami Hitlera. Przejeżdżający ciężarówkami robotnicy wytwórni baterii Centra śpiewali satyryczne piosenki, w których niewybrednymi słowami urągali Hitlerowi.

Mimo rosnącego z dnia na dzień zagrożenia, Leszek nie tracił ducha. Nastrój poprawiło mu zwłaszcza kolejne spotkanie z bratem i jego przyjacielem. Obydwaj lotnicy przyjechali z lotniska ubrani w mundury, z kordzikami przy boku. Dołączyły do nich dwie znajome panie, wyszli w piątkę do miasta. Lotnicy prezentowali się bardzo elegancko. Leszek cieszył się, że też ma mundur, choć był to tylko mundur szkolny. Kiedy weszli do kawiarni „Arkadia” przy Placu Wolności, orkiestra przerwała graną właśnie melodię taneczną i zagrała „Pierwszą Brygadę”, a wszyscy goście siedzący przy stolikach wstali z miejsc i przywitani ich oklaskami. To była szczególna chwila. Leszek nie przypuszczał, że widzi się z bratem po raz ostatni.

Przed odjazdem na lotnisko Tadzik dał Leszkowi jeszcze pięćdziesiąt złotych, na wszelki wypadek, jak tłumaczył. Poinformował go co ma robić, gdyby doszło do wybuchu wojny. Prosił, by brat zabrał do domu walizkę, w której zapakowane już były rzeczy osobiste, książki i notatki akademickie. Powiedział przed pożegnaniem: „Siedź w Poznaniu póki można, baw się!”

Następnego dnia Tadzik zadzwonił z lotniska w Ławicy do pani Wicherskiej, rozmawiał z Leszkiem przez telefon. Było to trzydziestego sierpnia. Jeszcze nie nakazywał wyjazdu. Ale 31 telefon milczał. Leszek poszedł jeszcze do ogrodu zoologicznego, pływał kajakiem po jeziorze. Gdy wrócił do miasta, na ścianach domów i płotach wisiały porozklejane plakaty mobilizacyjne. Zastanowił się, czy ma wyjeżdżać, lecz decyzję odłożył do piątku, bo i tak mógł zdążyć na zajęcia szkolne, które ministerstwo poleciło rozpocząć 4 września. Była wciąż piękna pogoda.

Pierwszego września pani Wicherska zbudziła go wcześniej rano wołaniem: „Poznań już zbombardowali”. Była bardzo wzburzona. „Czy będą gazy?”, pytała raczej siebie

niż gościa. Leszek zapisał w swoich wspomnieniach, że nie słyszał wybuchów, pewnie przespał też wycie syren alarmowych. Szybko zorientował się co robią mieszkańcy budynku. Wszyscy przygotowywali ochronne tampony do założenia na usta i nos w razie ataku gazowego. On też miał taki tampon, przywiózł go ze Lwowa. Teraz wyjął ze swojej małej walizki, by mieć pod ręką. W salonie gospodyni prowadziła nerwową rozmowę z rodziną. Zastanawiali się, czy zostać w mieście, czy jechać do majątku na wsi. W kamienicy funkcjonowały dyżury obywatelskie, mieszkańcy zmieniali się kolejno przy oknach w dachu. Wypatrywali samolotów Luftwaffe. Słuchano radia, przeglądano gorączkowo gazety. Stos gazet leżał na stole u pani Wicherskiej.

Leszek nie zaglądnął do gazet, nie słuchał dłużej rozmowy gospodyni. Wybiegł na miasto. Ludzie podawali sobie z ust do ust wiadomości o tym, co, kiedy i gdzie zostało zbombardowane. Krążyły plotki o zrzuconiu bomb gazowych. Na ulicach, którymi szybko przechodził, widział tylko potłuczone szyby, niewielkie uszkodzenia budynków i połamane gałęzie. Bomba upadła na ogród zoologiczny, ale zniszczyła tylko ogrodzenie i drzewa. Po tej wędrówce wrócił na ulicę Reja. Pani Wicherska nie zrobiła zapasów chleba, poczęstowała Leszka twardymi herbatnikami.

Po tym skromnym posiłku postanowił dowiedzieć się jakie pociągi wyjeżdżają do Lwowa. Z Reja do dworca nie było daleko. Za chwilę miał być z powrotem, doczekać do odjazdu pociągu, zabrać swoją walizkę i walizę Tadzika. Planował, że wyjedzie z Poznania inną trasą niż ta, którą przyjechał. Przecież tamtędy tory biegną bardzo blisko granicy, to zbyt niebezpieczne. Miał zamiar jechać w kierunku Warszawy, po drodze lub w stolicy przesiąść się na pociąg jadący w stronę Lwowa.

Kiedy szukał informacji na dworcu poznańskim rozległ się alarm lotniczy. Wszyscy zbiegli do schronów, które mieściły się w tunelach między peronami. Zapadło milczenie, wsłuchiowano się w dalsze i bliższe wybuchy. Odgłosom wybuchów wtórowały ciche modlitwy.

Samoloty i tym razem nie zbombardowały dworca. „Może odstraszyli ich polscy myśliwcy”, pomyślał. Syreny oznajmiły koniec nalotu, wyszedł więc do holu dworca. Wciąż nie znał rozkładu jazdy, nie mógł zdobyć informacji wśród panującego rozgardiaszu. I znowu rozległo się wycie syren. Nim odwołano drugi nalot, minęła

godzina. Jednak i ten nalot nie był ostatnim, ani najgroźniejszym. Najgroźniejszy był nalot trzeci. To wtedy zaczął się modlić razem z innymi. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że znajduje się w najbardziej zagrożonym obiekcie miasta. Strach minął, ale pozostało otępienie, które miało mu towarzyszyć w całej drodze powrotnej. Kiedy wyszedł na peron zapadał zmrok. Obok budynku dworcowego paliły się magazyny firmy transportowej Hartwiga. Blask płomieni oświetlał na czerwono jasne mury dworca kolejowego.

Peron, przy którym się znalazł po wyjściu ze schronu nie był uszkodzony, jednak bomba rozbiła wagon towarowy w składzie, który stał na peronie. Pociąg wypełniony był ludźmi ewakuowanymi z pogranicza i ich dobytkiem. Wszystko, co było zgromadzone w wagonie, pościel, pierzyny, odzież, zostało rozrzucone po peronie. Strzępy płótna i pierze wisiały nawet na gałęziach okolicznych drzew. Leszek rozglądał się dookoła, chodził raz w jedną raz w drugą stronę. Nie wiedział dokąd iść. Pod butami chrzęściło szkło, potykał się o kawałki cegieł i tynku.

Wśród zgiełku usłyszał nagle podawany przez megafony komunikat, że z jednego z peronów odjeżdża pociąg ewakuacyjny w kierunku Warszawy. Podjął błyskawiczną decyzję, pobiegł na właściwy peron, wskoczył w otwarte drzwi wagonu towarowego. Po kilkunastu minutach jechał już na północny wschód. Za sobą zostawiał chaos pierwszego dnia wojny. W pokoju przy Reja została też jego walizka i walizka Tadzika. Stracił też jesienny płaszcz i piękne rękawiczki, z których był tak dumny. Miał na sobie tylko szkolny mundur z niebieską tarczą na rękawie. Na tarczy naszyty był numer 365. Z tym numerem, w piętnastym roku życia, o godzinie siódmej wieczorem, rozpoczął swoją wielką, o wiele większą niż przypuszczał przed paroma jeszcze dniami, przygodę wakacyjną. „Dnia pierwszego września roku pamiętnego”, jak podpowiada piosenka.

Podróż trwała przez następnych siedem dni. W wagonie, do którego Leszek zdążył wskoczyć, jechała rodzina kolejarza z Międzychodu, stacji granicznej na linii kolejowej Poznań-Berlin. Kolejarze dostali polecenie ewakuacji ze względu na to, że mogli stać się pierwszymi ofiarami okupanta. W wagonie wieźli całe wyposażenie domu, które zdążyli zabrać. Wśród mebli leżały materace, kołdry, pierzyny. Inne wagony towarowe załadowane były podobnie. Kolejarz i jego żona byli w średnim wieku. Mieli dwoje dzieci. Syn był starszy, a córka w wieku Leszka.

Na początku podróży Leszek siedział osobno na stopniach wagonu smutny i zamyślony. Wpatrywał się otępiałym wzrokiem w przestrzeń. Z upływem czasu zaczął rozmawiać z przygodnymi znajomymi. Od nich też dostał pierwszy posiłek. Nie jadł cały dzień, był głodny, ale głód zaczął mu dokuczać dopiero z nadejściem zmroku. Następnego dnia syn kolejarza wypatrzył tuż za lokomotywą wagon wiozący, oprócz zwykłych pocztowych przesyłek, także wielką pakę sera z niemieckiej spółdzielni mleczarskiej na Pomorzu. Z pomocą kilku innych kolejarzy przecięli scyzorykiem deski skrzyni i dobrali się do olbrzymiego, metrowej średnicy kręgu gołubskiego sera. Przez cały dzień posilali się żółtym serem, bo na stacjach nie można było niczego kupić, wszędzie panował zamęt. Dopiero trzeciego dnia podróżni mogli korzystać z punktów sprzedaży żywności zorganizowanych na peronach przez Polski Czerwony Krzyż. W czasie krótkich postojów pasażerowie śpieszyli do rozstawionych stołów z czystymi, białymi obrusami, na których stały tace z kanapkami, dzbanki z kawą zbożową, a czasem i kakao, kotły z zupą i stopy blaszanych misek.

Pociąg jechał wolno, bywał przetrzymywany na niektórych stacjach. Leszek stał się członkiem kolejarzkiej rodziny. Sypiał w kącie wagonu pod jedną z ich kołder, jadał z nimi posiłki. Razem wypatrywali nieprzyjacielskich samolotów i razem uciekali w pole, gdy się zbliżały. Pociąg nie miał ochrony przeciwlotniczej i mógł stać się łatwym łupem dla przelatujących eskadr z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Pierwsze bombardowanie zaskoczyło i pasażerów i obsługę pociągu. Maszynista nie zahamował, gwizd bomb mieszał się z monotonnym stukotem kół pociągu. Skuleni wśród swych rzeczy pasażerowie dopiero po długiej chwili mogli odetchnąć z ulgą. Tym razem nikt jednak nie zginął, nalot nie wyrządził wielu szkód. Później obserwatorzy ostrzegali maszynistę w porę, zatrzymywał więc pociąg i dawał gwizdem lokomotywy sygnały alarmowe. Wtedy kto mógł wyskakiwał z wagonów i szukał schronienia w zagłębieniach ziemi. Bomby zrzucone były z dużej wysokości, a więc niecelne. Znacznie bardziej niebezpieczne były pojawiające się w pojedynkę myśliwskie samoloty, które z małego pułapu ostrzeliwały pociąg z broni pokładowej.

W czasie jazdy Leszek przesiadywał najczęściej na stopniach wagonu. Nie opierał nóg na stopniach, pozwalał, by zwisały bezwładnie poza stopniami. Ten bezwład nóg przenikał całe ciało, wdzierał się w zakamarki umysłu, paraliżował. Ale błyskawicznie mijał, gdy odzywał się alarm. Bezwład i odpoczynek to jedno.

Sprężenie do skoku, skok, bieg, to co innego, to niczym nie pohamowane działanie. W każdej chwili gotów był do sprężenia mięśni, poderwania się, do szybkich ruchów. Był przecież harcerzem, był nastawiony na to, że nie można się poddawać byle trudnościom. Pokonywał strach, jak pokonywał przestrzeń dzielącą tory od pola, od lasu. Przeskakiwał rów, biegł. Dopadał zagłębienia w ziemi, krył się jak tylko potrafił. A potem znowu kiwał nogami nad stopniem wagonu, patrzył przed siebie.

Pociąg posuwał się wolno, ale wytrwale ku stolicy. Ewakuowani z pogranicza ludzie zdążali w tym samym kierunku, co Leszek. Wiedzieli, że w pobliżu Lwowa czekają na nich kwatery zastępcze. Tam znaleźć mieli domy z daleka od porzuconych w pośpiechu własnych domów. Leszek jechał do swoich, którzy na niego czekali. Zapewne niepokoił się, nie wiedzieli przecież nic o jego podróży przez objętą wojną Polskę. W Warszawie Leszek dowiedział się, że jego pociąg zostanie skierowany przez Siedlce i Łuków, bo linia bezpośrednia na Rozwadów była silnie bombardowana. Na stacji za Warszawą, gdzie zostali zatrzymani na wyjątkowo długi postój, dowiedział się, że obok stoi inny pociąg, który ma odjechać szybciej w kierunku Lwowa. Nie zastanawiał się długo. Pożegnał się z rodziną kolejarza i wskoczył do innego pociągu, też pełnego uciekinierów z zachodniego pogranicza.

Na wschód od Wisły było dość spokojnie. Na małej stacji w Lubartowie wysoki, brodaty Żyd rozdawał ludziom bochenki chleba. Postój w Zamościu był szczególnie miły. Ordynacja Zamoyskich zgotowała uciekinierom serdeczne powitanie. Na stacji czekało na nich wyśmienite jedzenie, a na deser częstowano kiściami słodkich, soczystych winogron rozłożonymi na wielu tacach. Kiedy zbliżali się następnego dnia do Rawy Ruskiej, zostali zatrzymani daleko przed stacją. Miasto przeżywało właśnie nalot bombowy. Z daleka było widać dymy płonących zabudowań. Na płonąca wciąż stację wjechali dopiero o zmroku, pół godziny po odwołaniu alarmu. Peron był wypełniony gruzem i potłuczonym szkłem. Były ślady krwi, sanitariusze biegali z noszami.

Z tego pociągu Leszek raz jeszcze przesiadł się, tym razem do osobowego pociągu jadącego wprost do Lwowa. Wysiadł na stacji Kleparów. W domu przy ulicy Łyczakowskiej znalazł się około południa. Matka witała go w progu ze łzami radości. Był jednym z trzech synów, którzy po wybuchu wojny pozostawali poza domem. Rodzice niepokoił się bardzo o ich losy, obawiali się najgorszego. O Tadziku i

Zbyszku nie było żadnych wieści. Ostatnią rozmową z Tadzikiem była rozmowa Leszka przez telefon. Zbyszek, mój ojciec, został zmobilizowany do piechoty na drugi dzień po powrocie ze studenckiej wycieczki do Rumunii. Ironią losu powędrował po rozbiciu armii niemal tą samą drogą na południe. Odnalazł się we Francji, a rodzice witali go dopiero po latach, już nie we lwowskich, a w śląskich progach. Najmłodszy Leszek był przez całą okupację w lwowskim oddziale Armii Krajowej. Mieszkał z rodzicami. Po powrocie Leszka do Lwowa rodzina zebrała najpiękniejsze kwiaty z ogrodu i zaniósła je do kościoła Matki Bożej Ostrobramskiej na górnym Łyczakowie. Modlili się razem: „Na Twym świętym progu, za wrócone życie dziękujemy Bogu”. Podobnie, choć nie w tej samej świątyni, mogli się modlić po powrocie mojego ojca z tułaczki. Nie mogli jednak powtórzyć słów modlitwy po raz trzeci.

W tych samych dniach września, gdy Leszek podróżował z Poznania do Lwowa, Tadzik, jako obserwator Drugiego plutonu Trzydziestej Trzeciej Eskadry Obserwacyjnej (godło pasikonik z lornetką na tle białego rombu), wykonywał loty rozpoznawcze. Mobilizację sierpniową eskadra przeprowadziła na macierzystym lotnisku Ławica. Uzyskała stan gotowości bojowej 26 sierpnia. Rzut kołowy dojechał do jednostki w nocy z 28 na 29 sierpnia. Dowódca, kapitan obserwator Stanisław Zaleski miał do dyspozycji siedem samolotów „Czapla” (RWD 14). Drugi pluton został przesunięty na lotnisko Dembe koło Kalisza. W dniach 2 i 3 września załogi obu plutonów wykonały po kilka lotów rozpoznawczych. Załogi drugiego plutonu przeniosły się przed wieczorem w rejon miasta Turek. Wieczorem 4 września, nastąpiło kolejne przeniesienie w rejon Inowrocławia. Tego dnia podporucznicy Sawicki, Tomaszewski i Wilczyński wykonali trzy zadania dla dowódcy 25 DP. Następnego dnia, 5 września wykonały trzy zadania m.in. w rejonie Kalisz i Ostrów Wielkopolski. Z rozpoznania w rejonie Poddębice i Warta nie wrócili podporucznik Sawicki i kapral-pilot Ślebioda. W sumie, od 1 do 14 września, załogi 33 Eskadry wykonały 44 zadania bojowe, w tym 4 loty łącznościowe. Straty eskadry to 4 poległych, w tym Tadeusz Sawicki oraz 8 zaginionych, w tym Józef Tomaszewski. Z siedmiu „Czapli” nie została ani jedna, żadna więc nie była ewakuowana do Rumunii.

Do tej relacji z książki „Polskie eskadry w wojnie obronnej 1939” opublikowanej w serii „Skrzydlatej Polski” w roku 1982 dodać mogę, na podstawie wspomnień rodzinnych, że Tomek (Józef Tomaszewski) zjawił się we Lwowie już po zajęciu miasta przez Sowieców. Tomaszewski lądował w rejonie Chełma razem z kolegą,

podporucznikiem Rejeckim. Szukał możliwości przedostania się na Węgry. Do domu rodzinnego Tadzika trafił w ubraniu cywilnym, podpierał się na lasce. Nie miał wiadomości o Tadziku. Parę dni ukrywał się z kolegą u moich dziadków w willi przy ulicy Łyczakowskiej. Po ich odejściu dziadkowie już nigdy o nich nic nie słyszeli.

Stryj Leszek opowiedział ze szczegółami swoje przygody podczas imienin ojca, pierwszego kwietnia 2006 roku. Na imieniny matki, Zofii, przyniósł tekst wspomnień spisany na maszynie. Zakończył swoje wspomnienia relacją z pierwszych dni okupacji sowieckiej.

Dwudziestego drugiego września oglądałem pierwszych sowieckich żołnierzy wkraczających do miasta. Całe miasto ogarnęła cisza. Ulica była pusta, przerażeni mieszkańcy stali w bramach albo przy oknach domów. Podeszedłem do furtki przy ogrodzeniu. Od strony rogatki łyczakowskiej, z góry, dochodził tupot butów. Już te odgłosy sygnalizowały krok nieskładny, nie rytmiczny. Podeszli bliżej. Szli po obu stronach ulicy luźnymi szeregami. Nie maszerowali, ale właśnie szli. Było coś dziwnego w ich poruszaniu się, coś, co uderzało patrzącego, nawykłego do maszerowania w pełnym ładzie harcerza. Rozglądali się wokoło ostrożnie, stąpali powoli. W wyciągniętych przed siebie rękach trzymali kurczowo karabiny z długimi, czworokątnymi bagnetami. Ubrani byli w rozmaite mundury, w hełmach lub w dziwnych szpiczastych czapkach z nausznikami i dużymi czerwonymi gwiazdami naszytymi nad czołem. Gdy mijali furtkę pomyślałem, że ich krok to nie krok żołnierzy, lecz skradających się złodziei.

Zob. też:

<http://www.cultureave.com/czapla-listy-pilota-najnowsza--ksiazka-ryszarda-sawickiego/>

Emisariuszka Elżbieta Zawacka (1909 - 2009)



Elżbieta Zawacka, fot. materiały prasowe.

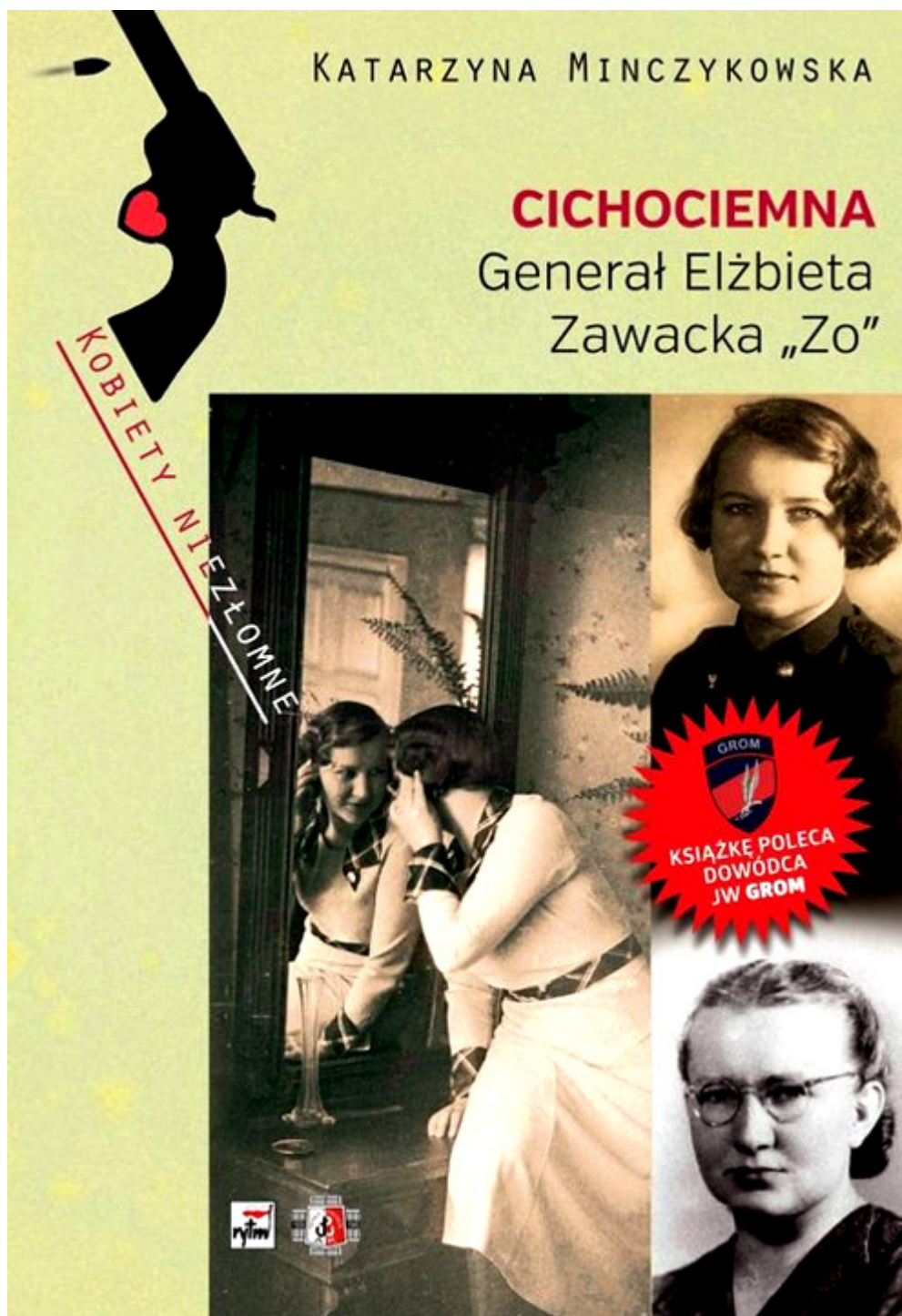
Elżbieta Zawacka to niezwykła postać. Jedyna kobieta wśród cichociemnych, druga w historii Wojska Polskiego kobieta generał, kurier i emisariuszka Armii Krajowej, uczestniczka Powstania Warszawskiego, a do tego matematyk i profesor nauk humanistycznych specjalizującą się w historii najnowszej.

Jan Nowak-Jeziorański napisał o niej w „Kurierze z Warszawy”:

Nawet w konspiracji, gdzie panuje anonimowość, „Zo” stała się postacią legendarną. (...) straciła rodzinę. Uchodziła za człowieka ostrego i wymagającego od innych, ale najbardziej od samej siebie. Jej oddanie służbie graniczyło z fanatyzmem. (...) Średniego wzrostu, blondynka o niebieskich oczach miała w sobie coś męskiego. Była surowa, poważna, trochę szorstka i bardzo rzeczowa. W czasie rozmowy ani razu nie uśmiechnęła się, nie padło ani jedno słowo natury

bardziej osobistej, nic co nie wiązało się ze służbowym tematem. „Zo” nie miała na to czasu. Dopiero na pożegnanie poczułem ciepły, mocny uścisk dłoni i usłyszałem lekkie westchnienie: Daj Boże, żebyście dotarli.

W 2014 roku w wydawnictwie Rytm ukazała się książka Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna General Elżbieta Zawacka Zo„. Od tej pory autorka opowiada o tej niezwykłej postaci. 17 kwietnia 2018 r. w Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu miał miejsce wykład dr Katarzyny Minczykowskiej oraz wystawa poświęcona Elżbiecie Zawackiej.



Elżbieta Zawacka urodziła się 19 marca 1909 r. w Toruniu, zmarła 10 stycznia 2009 r. tamże. Przyszła na świat w czasie, gdy Toruń znajdował się pod zaborem pruskim, jednak szkołę podstawową i gimnazjum kończyła już w wolnej Polsce. Maturę zdała w Żeńskim Gimnazjum Humanistycznym, a następnie skończyła studia matematyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Po studiach podjęła pracę jako nauczycielka w szkole średniej i udzielała się społecznie jako instruktor Przysposobienia Wojskowego Kobiet (PWK).

We wrześniu 1939 r. była żołnierzem Kobiecego Batalionu Pomocniczej Służby Wojskowej, walczącym w obronie Lwowa. Pod koniec 1940 roku przeniesiono ją do Warszawy - dostała przydział do Wydziału Łączności Zagranicznej Komendy Głównej Armii Krajowej *Zagroda*. Od połowy 1941 r. jeździła między Warszawą a Berlinem, przewożąc w obie strony pocztę, która kursowała przez Szwecję do Londynu i z powrotem. Jej zadaniem było też zorganizowanie szlaków kurierów podążających do Londynu przez Niemcy. W latach 1939-1945, korzystając z fałszywych dokumentów, przekraczała granicę Rzeszy setki razy (przy setnym, w 1942, przestała liczyć), przenosząc raporty, meldunki i informacje, zaś w przerwach między wyprawami uczyła i była uczona na tajnych kompletach. Używała pseudonimów „Zelma”, „Sulica”, „Zo”.

W lutym 1943 roku wyruszyła jako emisariuszka Komendanta Głównego AK Stefana Roweckiego przez Niemcy, Francję, Andorę, Hiszpanię i Gibraltar do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Jej misja miała dwa cele: poprawę łączności między Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie a KG AK w Warszawie oraz przedstawienie żądań gen. Roweckiego na temat regulacji prawnych dotyczących sytuacji kobiet w Wojsku Polskim. Z Londynu powróciła 9/10 września 1943 zrzucona ze spadochronem w ramach akcji „Neon 4” na placówkę „Solnica” pomiędzy zabudowaniami majątku we wsi Osowiec a folwarkiem we wsi Chawłowo (zrzut przyjęty we wsi Wólka Brzozokalska obecnie Adamów Wieś, koło Grodziska Mazowieckiego w zabudowaniach Jana Siwca. Dowódca kpt. naw. Stanisław Król Ekipa XXIX wraz z por. Bolesławem Polończykiem „Kryształ” i ppor. Fryderykiem Serafińskim „Drabina”).



Elżbieta Zawacka, fot. z książki Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna. Generał Elżbieta Zawacka Zo”.

W marcu 1944, gdy Zo groziło aresztowanie, wycofano ją z działalności kurierskiej i przeniesiono do służby w dowództwie Wojskowej Służby Kobiet (WSK). Działając w WSK, brała udział w Powstaniu Warszawskim, a po kapitulacji przedostała się do Krakowa, gdzie odbudowywała zerwaną łączność ze Sztabem Naczelnego Wodza. Zdemobilizowana w lutym 1945 r. dalej pracowała w konspiracji: najpierw w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, następnie w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Z działalności antykomunistycznej zrezygnowała w 1946 r., podejmując pracę w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego przy Ministerstwie Obrony Narodowej, z której – ze względów politycznych – musiała zrezygnować w 1948 r.

W latach 1948–1951 pracowała jako nauczycielka w Łodzi, Toruniu i Olsztynie. 5 września 1951 została aresztowana przez MBP (Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego) i po procesie skazana na 10 lat pozbawienia wolności. Na wolność wyszła 24 lutego 1955.

W 2005 r. powstał film dokumentalny o Elżbiecie Zawackiej pt. „Miałam szczęśliwe życie” według scenariusza i w reżyserii Marka Widarskiego.

Wróciła do pracy w szkolnictwie, ucząc w szkołach w Sierpcu i Toruniu. W 1965 r. na UMK w Toruniu obroniła doktorat (promotor: prof. Ludwik Bandura) i podjęła pracę na stanowisku adiunkta Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku (od 1972 r. Uniwersytet Gdański). W 1973 r. w Wykowie (obecnie: Uniwersytet Pedagogiczny) uzyskała tytuł doktora habilitowanego. Nie mając szans na utworzenie własnego zakładu andragogiki w Gdańsku (o czym marzyła), w 1975 r. przyjęła propozycję UMK stworzenia nowo powstającym Instytucie Pedagogiki i Psychologii. W 1976 r. wyjechała w celach naukowych do Londynu, po powrocie spotkały ją liczne szykany i represje tak ze strony SB, jak i władz Instytutu, w którym pracowała. Przeszła dwa zawały serca oraz długą rekonwalescencję, a w 1978 r. została zmuszona do odejścia na emeryturę. Do badań z zakresu nauk pedagogicznych nigdy nie powróciła.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych Elżbieta Zawacka zajęła się gromadzeniem materiałów historycznych, dokumentujących działalność Armii Krajowej w czasie wojny jako emerytka powróciła do tej pracy. Działała w ruchu kombatanckim „Solidarności”, w 1986 współorganizowała w Toruniu Klub Historyczny przy toruńskim oddziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (działający następnie jako Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka). Dzięki jej zaangażowaniu grono kilku osób w Toruniu zainicjowało, w końcu 1988 r., powstanie ogólnopolskiego stowarzyszenia byłych żołnierzy Armii Krajowej (obecnie Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej). W pierwszym zarządzie głównym tej organizacji, który kładł podwaliny pod jej dalszy rozwój, pełniła funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego. W 1990 zainicjowała utworzenie Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” - była jej pierwszym prezesem, a po latach honorowym przewodniczącym Rady. Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka był integralną częścią założonej przez Zawacką Fundacji i funkcjonował do początku XXI w.

W 1989 została laureatką Medalu Stolema - wyróżnienia przyznawanego w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim osobom, które w szczególny sposób przyczyniły się do pomnożenia dorobku i osiągnięć kultury i Pomorza lub do ich spopularyzowania. W 1990 została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 1993 Krzyżem Komandorskim tego orderu z gwiazdą. Od

1996 była profesorem nauk humanistycznych. W 1993 r. Rada Miasta Torunia przyznała jej tytuł Honorowego Obywatela tego miasta, w 2008 r. została Honorowym Obywatelem Piastowa.

3 maja 2006 roku na wniosek warszawskich środowisk kombatanckich Prezydent RP Lech Kaczyński awansował ją do stopnia generała brygady. Została wówczas drugą kobietą-generałem w historii Wojska Polskiego.

W 1990 roku z jej inicjatywy powstała Fundacja Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służbie Polek w Toruniu, obecnie Fundacja Generał Elżbiety Zawackiej.

<http://www.zawacka.pl/>

(źródło biografii Elżbiety Zawackiej: Wikipedia)

Na podstawie książki Katarzyny Minczykowskiej powstaje film fabularny o Elżbiecie Zawackiej. Reżyserem zwiastuna filmowego jest Bartłomiej Żmuda. W rolę tytułowej bohaterki wcieliła się Katarzyna Bujakiewicz.

Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Kanadzie.

Muzeum i Archiwum im. Płk. Pilota Bolesława Orlińskiego w Domu Seniora Wawel Villa przy 880 Clarkson Road S. Mississauga, Ontario, L5J 4N4 Canada.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.

Henryk Radecki

Muzeum i Archiwum im. Bolesława Orlińskiego zostało otwarte 24 lutego 2002 r. Znalazły się nim pamiątki i spuścizna po słynnym „Ojcu polskiego lotnictwa” oraz jego kolegach i przyjaciółach.

Płk. pilota Bolesława Orlińskiego rozślawił pierwszy w historii przelot z Warszawy do Japonii w 1926 r. Za ten niezmiernie trudny i bardzo niebezpieczny wyczyn otrzymał najwyższe odznaczenia od Cesarza Japonii jak i też od Prezydentów Francji i Polski.

Po jego śmierci w lutym 1992 r. koledzy i przyjaciele z lat Walk Powietrznych o Wielką Brytanię (*the Battle of Britain*) w 1941 r., tacy jak Stanisław Skalski, Janusz Żurakowski, Władysław Potocki i wielu innych zdecydowali uczcić pamięć ich przyjaciela i kolegi założeniem Muzeum jego imienia. Muzeum zostało oficjalnie otwarte w siedzibie Wawel Villa, gdzie jest czynne do dziś, pozostając pod opieką pierwszego i do tej pory głównego kuratora, Jerzego Kowalczyka.



Wejście do siedziby Domu Seniora Wawel Villa w Mississaudze, gdzie mieści się Muzeum im. Bolesława Orlińskiego.

Pierwsze zbiory pamiątek ograniczały się do polskiego lotnictwa, ale szybko doszły inne przedstawiające wszystkie rodzaje Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, dary Polonii miejscowej i innych skupisk polonijnych w okolicach torontońskiej metropolii. Po stosunkowo niedługim czasie Muzeum mogło urządzać wystawy eksponatów nie tylko lotnictwa, ale też Wojska Polskiego, Marynarki i nawet Brygady Spadochronowej. W maju 2012 r. Muzeum wzbogaciło się o zbiory z nieczynnego *Polonia Museum*, aktywnego przez parę lat przy Polskiej Placówce Kanadyjskiego Legionu 418 w St. Catharines, Ontario.

W 2016 r. powstał dodatkowy dział - „Pokój Andersa”, przedstawiający działalność Wojskowych Szkół Junackich w Związku Sowieckim i na Środkowym Wschodzie w latach 1941-1947. Zbiory tej sekcji muzealnej przedstawiają wzory mundurów kadeckich, junackich, młodszych ochotniczek i młodego lotnika. Między innymi są tam składy podręczników szkolnych, wydawnictw z Jerozolimy w latach 1943 i później, ręcznie sporządzane skrypty, odznaki szkolne i albumy z oryginalnymi zdjęciami z tamtych lat. W toku publikacji jest obszerna Historia Wojskowych Szkół Junackich w latach 1941-1947 autorstwa jednego z kustoszy/woluntariuszy.



Pokój Andersa w Muzeum im. Bolesława Orlińskiego, z mundurami kadeta, lotnika, młodszej ochotniczki i junaka.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.
Biblioteka przy Muzeum z ponad tysiącem pozycji prac historycznych, dokumentalnych i pamiątkarskich, jak też obszerne i ważne składy dokumentacji

archiwalnej, mogą służyć badaczom, naukowcom i młodzieży w pracach akademickich.

W maju 2016 r. w rocznicę Bitwy pod Monte Cassino, grono wolontariuszy/pracowników zorganizowało Akademię z programem wystaw, przemówień, śpiewów i wyróżnień jeszcze żyjących uczestników tej Bitwy. Pod egidą Muzeum została też wydana dwujęzyczna, ilustrowana broszura.

Niektórzy kuratorzy/wolontariusze są głęboko zaangażowani w historię 22-tysięcznej Polskiej Ochotniczej Armii, która ćwiczyła się w Niagara-on-the-Lake w Ontario, a potem walczyła we Francji w 1918 r. i jako część Armii Hallera w latach 1919-1920 i brała udział w walkach o granice Polski. W Muzeum miasteczka Niagara-on-the-Lake ci kuratorzy/wolontariusze zorganizowali bogatą wystawę pamiątek po tych żołnierzach, jak i zdjęć czy plansz z życia obozowego. Wielu z kuratorów/wolontariuszy bierze udział w specjalnych uroczystościach na polskim wojskowym cmentarzyku w tym miasteczku.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.

Wolontariusze/pracownicy organizują wystawy zbiorów muzealnych na spotkaniach z młodzieżą Szkół Polskich w okolicach metropolii torontońskiej czy też w St. Catharines, Ontario. Organizowane są również wystawy Muzeum na dorocznych polonijnych Festynach takich jak „Festiwal ulicy Roncesvalles” w Toronto czy „Dzień Polski” w Mississaudze, Ontario.

Stała ekspozycja w Muzeum Orlińskiego przedstawia zbiory wielu ważnych i niezwykłych pamiątek, mundurów i wysokich odznaczeń wojskowych, oryginalnych

obrazów i albumów z fotografiami z czasów II wojny światowej. W składach można znaleźć oryginalne dokumenty, legitymacje, świadectwa, dyplomy i inne bezcenne archiwalia.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.

Muzeum Orlińskiego bez zastrzeżeń może twierdzić, że nie istnieją tak bogate zbiory pamiątek czy też materiałów historycznych dotyczących Wojska Polskiego z okresu II wojny światowej przy jakiegokolwiek grupie lub organizacji polonijnej w Kanadzie. Zapraszamy wszystkich chętnych do zwiedzania Muzeum Płk. Pilota Bolesława Orlińskiego.

Galeria

Dowódca 305 dywizjonu bombowego, bohater przelotu Warszawa—Tokio—
Warszawa, podpułkownik Bolesław Orliński, ze swym nawigatorem Lemie-
szonkiem w kabinie samolotu „mosquito”



Order „Wschodzącego Słońca” oraz Dyplom od Cesarza Japonii w uznaniu zasług dla

pilota, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.



Płk. Bolesław Orliński przed PZL P.6, Cleveland 1931, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.

Linki:

<https://roundme.com/tour/146038/view/369478/>

<http://tinyurl.com/mywj3nr>

<https://goo.gl/photos/bMJBXQtq9k9wf2Xv6>

Amerykańskie spinki ojca



Romuald Mieczkowski (z lewej) po odebraniu nagrody dla dziadków - Krzyża za Ratowanie Życia, z rąk prezydenta Valdas Adamkusa (z prawej), fot. arch. R. Mieczkowskiego.

Romuald Mieczkowski

Przeglądając rodzinne archiwa, znalazłem list z Ameryki do mojej matki z początku lat pięćdziesiątych. Na stemplu pocztowym nie udało się odczytać daty. Czytelna jest tylko pieczętka z napisem *międzynarodnoje*. Na wstępie listu są słowa:

Kochana, Jadziu i cała Rodzina, jestem zadowolona, że u Was wszystko dobrze, że zdrowy kochany Tatuś Stanisław...

I dalej list jak list, pisany niewprawną ręką, z ortograficznymi błędami. Opowieść o sprawach przyziemnych, o tym, że córka Krysią wyszła za mąż, ma dwie córeczki i syna, że razem z Nochimem autorka listu prowadzi sklep mięsny i tego starczy na

życie, że tak w ogóle, narzekać nie ma czego. Dalej informuje, że Lejba i Lejbowa przez pewien czas byli na wsi, gdzie hodowali kury, ale rzucili to zajęcie i przyjechali do Nowego Jorku, gdzie i im powodzi dobrze. W końcu nadawca listu obiecuje wysłać paczkę, pozdrawia i *całuje niezliczoną ilość razy*.

Szara koperta, zniszczona przez czas. Pisała Sonia Gołąb, i adres: 1920 Woltuway, Bronx 53, N.Y. Ulica może mieć inną pisownię, gdyż trudno odczytać jej nazwę.



Dom Pietrowskich. W centrum dziadek Stanisław, fot. arch. R. Mieczkowskiego.

Odgrzebuje szczątkowe fragmenty tej historii z dzieciństwa o rodzinie żydowskiej, którą szczęśliwie w czasie wojny uchronił mój dziadek Stanisław Pietrowski. Niestety, rodzice zeszli nagle i dość młodo z tego świata i nie znam szczegółów przyjaźni mojej matki z Sonią Gołąb. Pamiętam, jak prosiliśmy o przesiąknięte zgrozą opowieści z czasów wojny. Dziadek mieszkał na *odnosiołku*, po środku pola stała jako jedyna jego zagroda. Na jego hektarach stanęła potem niemal cała dzielnica

mieszkaniowa Wilna - Poszyłajcie. Kilka drzew dziś znaczy topografię byłego domostwa, tuż obok zbudowano podstację elektryczną.

Przed wojną był typowym ziemianinem. Prowadził gospodarstwo i z tego żył. Całkiem nieźle. W czasie wojny przychodził z pomocą Żydom. Po prostu jako parobkowie i „dalecy krewni” pracowali oni na gospodarstwie, powiększając i tak liczną rodzinę. Umorusani, o spracowanych rękach, w tym miejscu nie rzucali się szczególnie w oczy, choć - co tu mówić - mimo podrobionych dokumentów, ryzyko istniało duże. Były momenty, kiedy rodzina wraz z „krewnymi” stała pod ścianą, zaś dom lada chwila miał być podpalony. Ale litewska policja była przekupna - w czasie wyjaśniania podejrzeń dziadek Stanisław wytrwale stał przy swojej wersji i dla załagodzenia sytuacji coś przynosił, potem jeszcze przynosił, aż w końcu na pewien czas dawano spokój. Najazdy takie powtórzyły się dwa albo trzy razy.



Jadwiga Mieczkowska - matka autora, fot. arch. R. Mieczkowskiego.

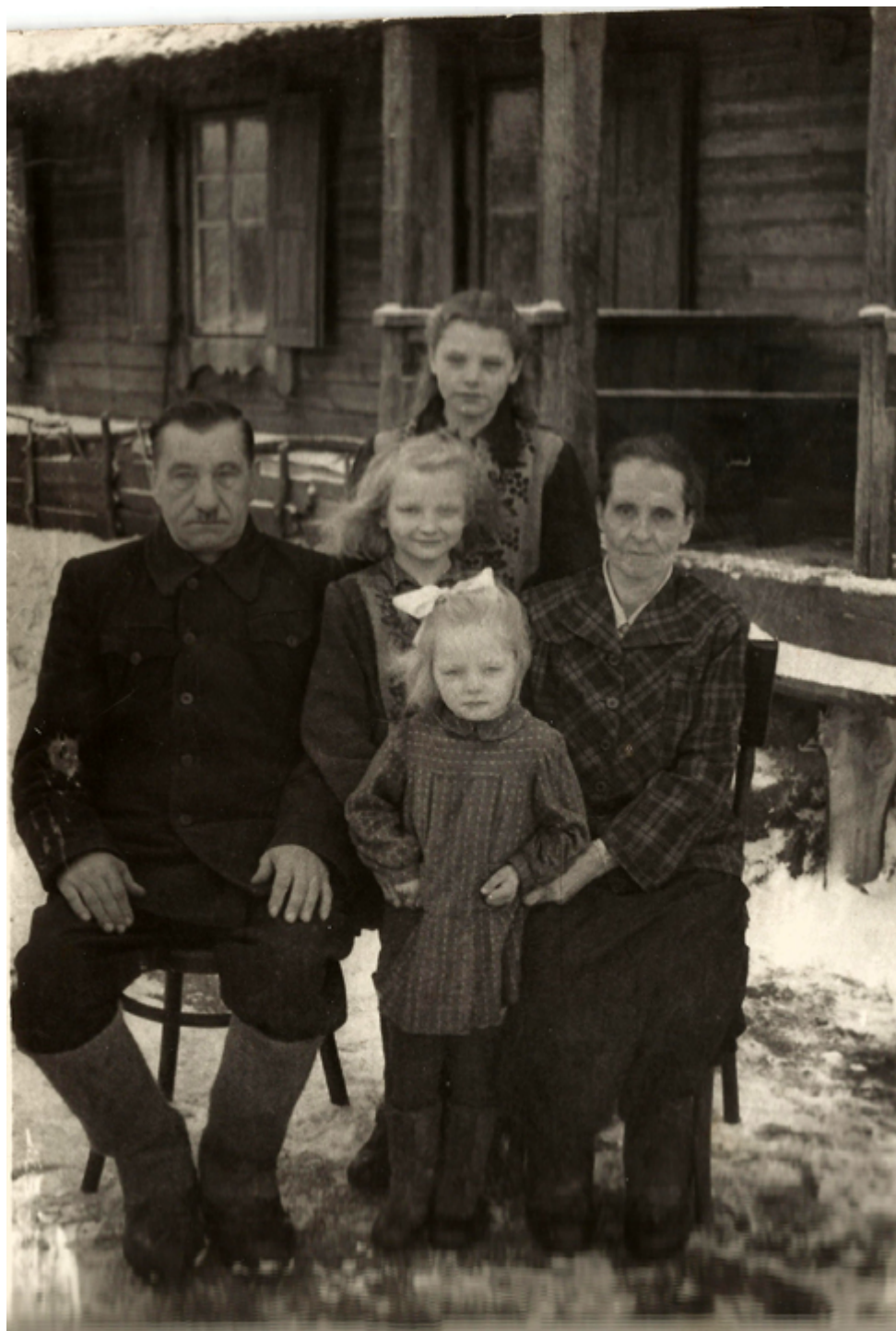
Matka opowiadała o tym, jak w czasie, kiedy jej najbliżsi wraz z Żydami czekali na decyzję - czy mają odmaszerować w stronę Ponar, czy ich rozstrzelają na miejscu, ona jako najmłodsza, schowana na strychu, po cichu płakała, spoglądając przez szczeliny w deskach na podwórko. Dziś trudno wyjaśnić, ile kosztowała cena życia, ale pertraktacje dziadka były skuteczne - wojnę przeżyli wszyscy.

Po wojnie Żydzi wyjechali. Z początku jako obywatele Polski „za Bug”, potem trafili za ocean. Zachowali swą wdzięczność rodzinie Pietrowskich. Przez pewien czas przysyłali paczki. Raz w udziale matki przypadła niezwykle modna, bo z jakiegoś błyszczącego materiału sukienka, ojciec dostał rulon sukna w kratkę na garnitur, koszulę i plastikowe spinki ze słonikami. W czasie przyjęć rodzinnych ciotki obowiązkowo chciały pomacać tkaninę, która „nie gniece się”, zaś ojciec był dumny

ze swego „amerykańskiego” garnituru i nylonowej koszuli.



Helena Mieczkowska i Stanisław Pietrowski, babcia po ojcu i dziadek po matce, fot. arch. R. Mieczkowskiego.



Maria i Stanisław Pietrowscy z wnuczkami, pocz. lat 50., fot. arch. R. Mieczkowskiego.

Listów z Ameryki było więcej. Ale jak to bywa w życiu - rodzina się rozproszyła, nie stało starszych. Jeszcze w niedalekich czasach starano się nie przyznawać do jakichś znajomości zagranicznych. Przetrwały tylko śmieszne amerykańskie spinki ojca.

23 września 1999 roku prezydent Litwy Valdas Adamkus nagrodił pośmiertnie moich dziadków - Marię i Stanisława Pietrowskich Krzyżem za Ratowanie Życia,

składając wyróżnienie na ręce autora niniejszej opowieści.

Milczenie słów. John Guzłowski i jego poezja.



John Guzłowski, fot. arch. autora.

John Guzłowski jest polsko-amerykańskim poetą, autorem trzech powieści, wykładowcą literatury angielskiej i amerykańskiej na Eastern Illinois University w

Charleston (USA) oraz autorem prac z zakresu krytyki literackiej. Urodził się w roku 1948 w obozie dla uchodźców w Vinenbergu w Niemczech. Jego rodzice pracowali w nazistowskich Niemczech jako niewolnicy. Ojciec został schwytany w 1940 roku pod Poznaniem, a matka złapana w pobliżu jej domu na zachód od Lwowa i przewieziona do Niemiec w 1942 r. Obydwoje pracowali w obozach koncentracyjnych oraz fabrykach i gospodarstwach rolnych do końca wojny. Następnie znaleźli się w obozie dla uchodźców w Niemczech. W 1951 roku jako przesiedleńcy przyjechali do Stanów Zjednoczonych z dwójką dzieci i zaczęli budować nowe życie w Chicago. Wiersze Johna Guzłowskiego dotyczą bolesnych tematów z przeszłości rodziców i im podobnych poranionych przez wojnę i zapomnianych.

Język Mułów i inne wiersze to dwujęzyczny tom Johna Guzłowskiego, przetłumaczony przez poetę Bohdana Zadurę, mający dwa wydania - *Language of Mules*, Charleston, IL: DP Press, 1999 oraz *Język Mułów i inne wiersze*, Katowice, Biblioteka Śląska, 2002. Naziści określali koślawą niemczyznę przymusowych robotników w obozach językiem mułów, nie ludzi. Stąd tytuł tomu.

Czesław Miłosz, laureat Nagrody Nobla, w recenzji zbioru wierszy Johna Guzłowskiego „*Language of Mules*” napisał, że dzieło Guzłowskiego „zadziwiło” go i pokazało „wielką umiejętność uchwycenia rzeczywistości”.

Poezje Johna Guzłowskiego były ponadto publikowane w *Writer's Almanac* Garrisona Keillora, *Rattle*, *Ontario Review*, *North American Review* i wielu innych pismach literackich w Stanach Zjednoczonych i za granicą. Jego wiersze i eseje o podłożu osobistym, pojawiają się też w publikacji p.t. *Echoes of Tattered Tongues: Memory Unfolded*, Los Angeles: Aquila Polonica Press, 2016.

Książka *Echoes of Tattered Tongues* została w 2017 roku uhonorowana nagrodami: *Benjamin Franklin Poetry Award* oraz *Eric Hoffer Foundation's Montaigne Award*.

John Guzłowski o swojej rodzinie i życiu pisze na blogu:

<http://lightning-and-ashes.blogspot.com/>

oprac. polskiej wersji notki biograficznej poety: Joanna Sokołowska-Gwizdka

DIPISI

*Przyszliśmy z ciężkimi walizami
zrobionymi z desek przez braci
których zostawiliśmy, przyszliśmy z Magdeburga,
i Katowic, a przedtem
ze Lwowa, prawdziwego domu naszej matki,*

*przyszliśmy z naszymi językami
w strzępach, z zębami w kieszeniach,
tulący tylko samych siebie, nasze ciała
sztywne jak przerażone ostrygi.*

*Byliśmy dziećmi w wełnianych szmatach,
które wymieszały się w szeregu do jedzenia lub modlitwy
lub żebrania o czyjeś miłosierdzie.*

*Pamiętając powietrze i drzewa,
niebo nad polskimi polami,
śniliśmy tylko o żywych czekających
na nas w Chicago i St. Luis
i Superiorze, Wisconsin*

jak centy

w naszych ustach

przełożył Bohdan Zadura.

Z tomu „Język Mułów i inne wiersze”, Katowice, Biblioteka Śląska, 2002.

BÓG FAL

(God of the Waves)

Ale Bóg jest Bogiem fal i bałwanów, one są Jego również wtedy, gdy przewalają się nad nami; a my znów, raz jeszcze udowadniamy, że przytłaczająca nas siła nie przytłacza nas. Raz jeszcze, za jego wstawiennictwem, nadchodzi wyzwolenie. Zostaliśmy pogrążeni, ale nie zniszczeni.

Amy Wilson-Carmichael, chrześcijańska misjonarka z Indii

Bóg pamięta ten zegarek

mężczyzna miał go ze sobą gdy jego ręce

bezgłośnie ginęły pod falami -

cyferblat wiszący w ciemnościach

jak porzucone okruchy gwiazdowego pyłu

na smagającej czarnej wodzie.

Czy człowiek ten błagał o coś,

*może zrywając pełne wody płuca
wzywał Jego imię? Bóg chciałby
ale nie umie przypomnieć sobie.
Chwileczkę, jest wreszcie. To powraca
chłodnym przypiływem pamięci, twardym
jak żwir, głębokim niczym płacz matki.*

*Bóg strząsa to z siebie, myśli
o czymś innym - oliwnym gaju nocą.
Będąc w Nazarecie jako chłopiec
ukochał ciszę świętych gwiazd
płynących strumieniami po Boskim niebie.*

przełożył Henryk Cierniak

POLSKA

*Nigdy jej nie zobaczę, ci starzy Polacy
którym stale śni się Polska. Kiedy byłem chłopcem
ojciec powiedział mi że ci którzy tego próbowali
w '45 zostali zawróceni na granicy*

*przez bosonogich Rosjan w łachmanach
na kosmatych kucykach. Polacy uciekali przez lasy
ci którzy mieli pecha zostawali w tyle, martwi
albo co gorsza ranni, ci którzy mieli szczęście*

*wracali do swoich starych baraków w obozach
koncentracyjnych albo obozach pracy
w Gatersleben lub Wildflecken aby czekać
na jakiś cud który by ich przeniósł*

*do Poznania albo Katowic. Lecz Bóg
ich nie wysłuchał, a może miał ręce pełne
roboty gdzie indziej. Później, w Ameryce
ci Polacy spotykali się każdego roku*

*ze swoimi braćmi, a także swoimi afektowanymi
synami i córkami w święto Konstytucji 3 Maja,
aby się modlić w intencji flagi. Nie było wątpliwości
co znaczą te dwa kolory, czerwień wszystko to*

co rodzi smutek, a biel to niewinność.

*I zawsze te stare pieśni mówiące światu że
Polska nigdy nie zginie dopóki maki kwitną
czerwono, a ciało zdolne jest pokonać skałę i stal.*

przełożył Feliks Netz

CZEGO NAUCZYŁA JĄ WOJNA

*Moja matka nauczyła się, że seks jest zły,
Mężczyźni są nic nie warcą, jest zawsze zimno
I nigdy nie ma dosyć jedzenia.*

*Nauczyła się, że jeśli masz dwie lewe
Ręce nie przeżyjesz
Zimy, nawet jeśli przeżyjesz jesień.*

*Nauczyła się, że tylko młodzi przeżywają
Obozy. Starzy zostają na kupie
Jak makulatura, a niemowlęta
są tak rzadkie jak kurczęta i chleb.*

*Nauczyła się, że świat jest niepewnym miejscem
Gdzie nie śpiewają ptaki i nawet anioły*

Nie mogą unieść smutku, który daje im Bóg.

Nauczyła się, że nie należy się modlić

Aby wrogowie cię nie torturowali.

Modlić się trzeba o to, żeby cię nie zabili.

przełożył Bohdan Zadura

DOBRA ŚMIERĆ

Mój ojciec mówi

że kiedyś się nauczy

słuchać poloneza

a nie słyszeć Sikorskiego

lub Warszawy, głuchej fali

i kurzu niemieckich czołgów,

tylko Szopena,

jego zestroju czystych dźwięków

i precyzyjnego legato.

Jego sny będą

*z oszronionych drzew,
opakowanych prezentów
w czerwonym pół-świecie,
z zapachu ciepłych szop
i dziewcząt dojących
czekające krowy.*

*Śnieg będzie padał
i znikał niezauważony.*

przełożył Bohdan Zadura

KATYŃ

*Nie ma tu żadnych Wielkich Murów,
Żadnych Wież pochyłych lub niepochyłych,
Ogłaszających sukces jakiegoś króla
Albo wyszydzających błąd innego,
Żadnej błyszczącej Duomo gdzie by można
Modlić się o przebaczenie lub patrzeć
Na koło cieni grających
W chłodzie dnia,*

*A wkrótce nawet nazwisk
Tych którzy umarli nikt nie będzie pamiętał
(Nazwisk takich jak Skrzypiński, Chmura,
Lub Antoni Milczarek)
Ich ostre głosy i szalona odwaga
Już przeminęły z wiatrem,*

*Ale ich prawdziwe pomniki
Zawsze tam będą, w pyle
I szarych popiołach i pagórkach
Wznoszących się nad ciałami, nad którymi
Nigdy nie wypowiedziano nawet słowa
I żadnej łzy nie uroniła płacząca matka
Lub drżąca siostra.*

przełożył Bohdan Zadura

TO, O CZYM MOJA MATKA NIE CHCE ROZMAWIAĆ

*Zaledwie siedemnastoletnia
z wiankiem kwiatów
we włosach*

wraca

z pastwiska

pod lasem

gdzie krowy płyną

powoli

w mrocznej

chmurze kurzu

cieplej i nieruchomej

jak sierpień

Znajduje swoją matkę

z przestrzelonym gardłem

odrąbane piersi siostry

w kurzu

obok stóp

martwe niemowlę

w kocu

To wszystko kończy się tam

nie w obozie

a tam

Spytaj ją

Machnie ręką

Powie jesteś głupcem

powie

jeśli dają ci jeść

jedz

jeśli biją

uciekaj

przełożył Bohdan Zadura

MELON

Kiedy patrzymy na melon błyszczący na stole

w porannym świetle, czemu nasze serca biją radośnie,

wyrywają się do niego tak właśnie, jak to robią? Czemu chcemy

naszkicować ten melon, zamknąć go w słowach

lub umieścić w krótkich melodycznych frazach?

Czasami, myślę, że robiąc tak, chcemy
w pewien sposób ten melon osiąść, nie w znaczeniu
kupienia, mam na myśli nie to,
lecz świadomość, że ten melon nie jest
częścią mnie, nie mnie, nie może być, w rzeczy samej, nigdy

bliżej mnie niż jest teraz,
w tej chwili, kiedy widzę go przed sobą
na stole jak mały świat, o którym śniłem
jako dziecko w piaskownicy snów,
i patrząc nań jak na ten świat, jestem przezeń wciągnięty

posiadany przez niego tak pewnie jak wiosna
bierze wzgórze, rozpuszczając je aż zima
przestaje znaczyć cokolwiek w jego życiu, aż skóra
jego utraconych liści jest niczym. Wówczas staję się
melonem, istnieję tylko po to aby podziwiać

jego piękno, jego lepką białą skórę i chłodną słodycz
jego Betlejem i Golgotę, istnieję tylko po to by podziwiać jego
odrębność i widzieć samego siebie jako jego część,

*nigdy bliżej niego niż teraz, nigdy bardziej wolny
niż teraz z mego własnego miejsca czaszek.*

przełożył Bohdan Zadura

Wielki polski blef



fot. pinterest

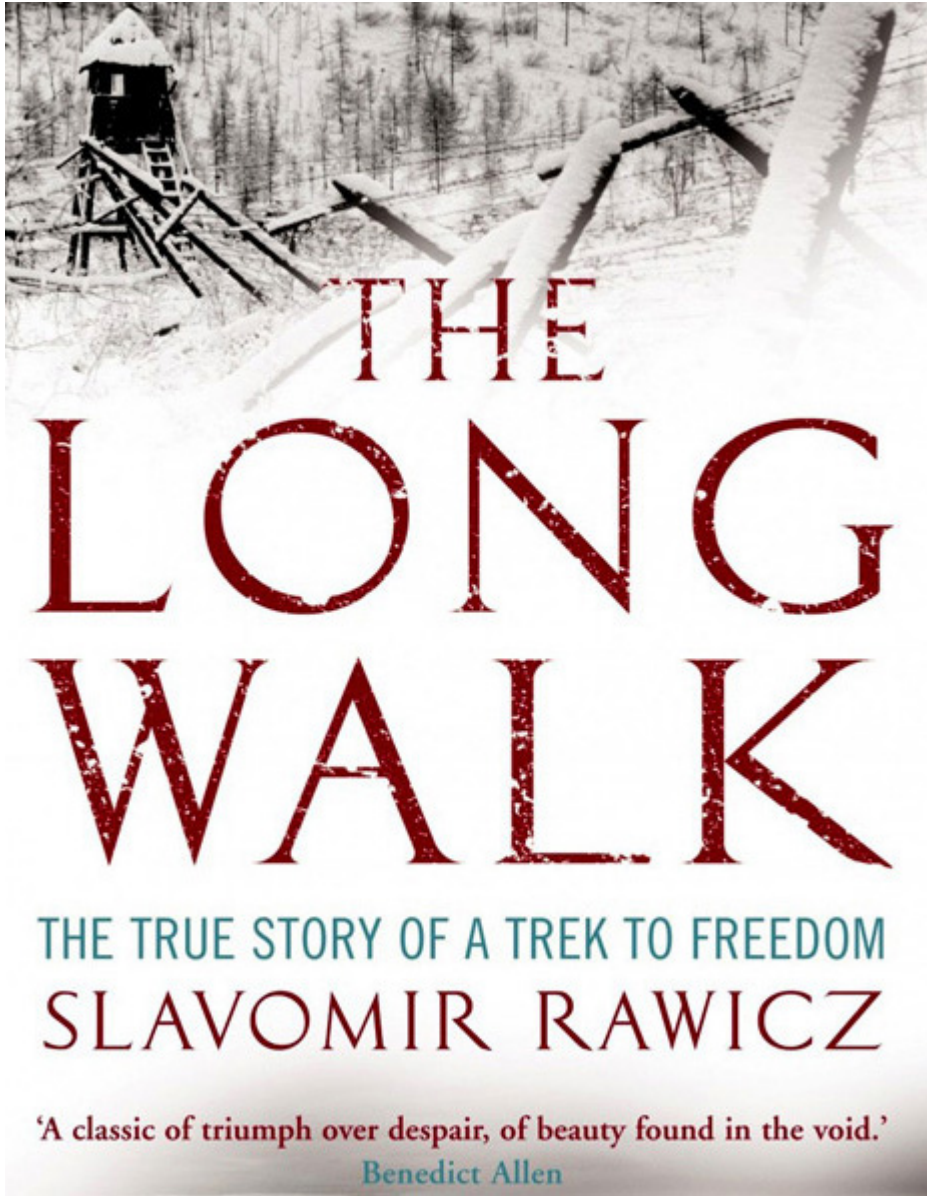
Florian Śmieja

Ponieważ dobrą historyjkę można opowiedzieć wiele razy, ja także to, co wam opowiem, relacjonowałem kilkakrotnie. Lecz za każdym razem jest ona nieco inna, niepewna pamięć jest o niej mniej przekonana, błędą szczegóły i gubią się, choć nie zmienia się aura oraz zdumienie czytelnika i słuchacza.

W latach sześćdziesiątych byłem wykładowcą literatury i języka hiszpańskiego na angielskim uniwersytecie w Nottingham. W tym mieście położonym w środkowej Anglii wychodząca w Londynie gazeta „Dziennik Polski” zorganizowała doroczny w owym okresie wybór Miss Polonii. Jakimś trafem zostałem dokooptowany do jury, które miało wybrać najszykowniejszą Polkę. Zapamiętałem, że w skład pań wchodziła autentyczna angielska lady oraz popularna piosenkarka Renata Bogdańska inaczej mówiąc, generałowa Andersowa. Wśród mężczyzn frapował tajemniczy Sławomir Rawicz, intrygujący bohater głośnej książki „The Long Walk” czyli „Długiego marszu”. Nie mogę sobie darować gapiostwa, tego, że nie przypatrzyłem mu się dokładniej, bym go mógł dzisiaj rzetelnie opisać.

W tamtych latach wywołał on w Wielkiej Brytanii sensację, jako protagonista rewelacyjnego reportażu. Przedstawiono go w nim jako polskiego oficera kawalerii aresztowanego przez Sowieców w listopadzie 1939 roku i skazanego na 25 lat ciężkich robót.

Pociąg z transportem więźniów, wedle tych relacji, jechał trzy miesiące na wschód. Warunki i ciężka zima pochłonęły wiele ofiar. Obóz 303 wedle załączonej do książki mapy, leżał na południowy zachód od Irkucka. Mimo tych ogromnych odległości, Rawicz zaczął myśleć o ucieczce. Wtajemniczył w swój plan kilka osób, Polaka, Litwina, Łotysza, Jugosłowianina i Amerykanina. Puścili się w szaleńczą drogę. Przy jeziorze Bajkalskim dołączyła do nich Polka, Krystyna. Przekroczyli tory kolei transsyberyjskiej i weszli do Mongolii. Podczas upalnego sierpnia przebyli pustynię Gobi. Tam z wycieńczenia zmarła Krystyna, a po niej, jeden z mężczyzn. Omijali miasta, jedli węże, żeby przeżyć. Droga wiodła rubieżami Chin do Tybetu. Widmowe postacie szukały u Tybetańczyków żywności i schronienia. Przebyli szczyty Himalajów i dotarli do Indii. W szpitalu w okolicy Kalkuty potem powoli wracali do zdrowia.



THE LONG WALK

THE TRUE STORY OF A TREK TO FREEDOM
SLAVOMIR RAWICZ

'A classic of triumph over despair, of beauty found in the void.'

Benedict Allen



Rawicz po licznych przesłuchaniach, dostał pozwolenie, by dołączyć do wojska polskiego stacjonującego w Iranie.

Podyktował swoją opowieść dziennikarzowi angielskiemu Ronaldowi Downingowi. Dramatyczny wyczyn wywołał w Wielkiej Brytanii ogromne poruszenie. Książka rozeszła się w półmilionowych nakładach, ukazały się przekłady na dwadzieścia kilka języków. Eksperti od Dalekiego Wschodu nie mogli wyjść ze zdumienia. Nie wierzyli,

by grupa więźniów mogła dokonać tak niebywałego wyczynu. W telewizyjnych i radiowych spotkaniach z Rawiczem bez końca dyskutowano i kłócono się o szczegóły, kwestionowano i zaprzeczano. Protagonista usprawiedliwiał się i wikłał w zeznaniach, bronił się, ale wielu sceptyków nie przekonał. Odezwały się liczne głosy niedowiarków, ale książka sprzedawała się znakomicie. Po czasie, kiedy strony nie potrafiły dojść do zgody, empiryczni Anglicy radzili przenieść w bibliotekach książkę z działu „autobiografii” do „beletrystyki”.

Bohater epopei zmarł w 2004 roku. Dochodzenia wykazały jednak, że Rawicz wyszedł z wojskiem polskim ze Związku Sowieckiego na zasadzie amnestii w 1942 roku i żadnego rewelacyjnego marszu nie dokonał, a inny Polak, Witold Gliński, ogłosił w maju 2009 roku, że to on był właściwym protagonistą książki.

Niemniej fantazja i tupet Rawicza już w 1955 roku zwróciły uwagę i zainteresowanie na Zachodzie na okryte tajemnicą realia sowieckiego kolosa, o którym wnet potem zaczęły krążyć intrygujące plotki i domysły, aż do jego ostatecznego zdemaskowania i upadku.